Nr. 49. Poznań, dnia 2. Grudnia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

HISTORYA
NAUCZYCIELA SZKÓŁKI WIEJSKIÉJ

przez

Erckmann-Chatrian.

(Tłomaczenie z francuzkiego.)

VII.

(Ciąg dalszy.)

Było to w r. 1818, w roku bardzo ciepłym; śnieg jeszcze w Marcu znikł zupełnie. Z małego mego okienka przypatrywałem się zieleniejącym gajom i łąkom. Była to najprzyjemniejsza dla mnie ze wszystkich rozrywek. Nigdy nie czułem się szczęśliwszym. Chłód poranny, poprzedzający wschód przejmował mię dreszczem entuzyazmu i w tenczas bez obawy przeszkodzenia pani Hulot, śpiewałem zwykłe Te Deum laudamus!

Na nieszczęście ze szkoły z dniem każdym uczni ubywało. Jedni paśli kozy, inni pomagali rodzicom przy sianożęciu, lub przy reparacyi rądli i kotłów. Wieś Roches przepełniona była kotlarzami i fabrykantami sabotów. Stałem więc sam przed ławkami pustemi; pozostało mi tylko pięciu czy sześciu chłopców, dzieci bogatszych; lecz i ci z niecierpliwością oczekiwali wezwania ich na pole. Siostra Eleonora wracała zwykle w tym czasie do klasztoru; ale przed odjazdem nic mi o tém nie wspomniała. Pomiędzy pozostałymi uczniami, znajdowali się Jakób i Filip Hutin, synowie strzelca leśnego Hieronima. Stary strzelec szczupłéj był budowy, z nosem ostrym i przygarbionym, z posiwiałemi wąsami, z oczami żywemi, słowem miał wyraz otwarty i szczery. Urodził się w Remiremont, w Wogezach. Ile razy byłem na obiedzie u niego, opowiadał mi zawsze o kampaniach odbytych we Włoszech, w Szwajcaryi, w Holandyi i nad Renem. Mówił jasno i bez przechwałek. Domek jego był czysty i porządny. Ponieważ oddawna już stracił żonę, starsza córka panna Antonina nad porządkiem czuwała. Było to dziewcze piękne: twarz miała świeżą i uśmiechniętą, włosy jasne i duże niebieskie oczy; przytém pełna energii, żywości i dowcipu. Z małymi środkami wiele zrobić, przygotować obiad z kilku jajek, sałaty i soli, umieć w jednéj płóciennéj spodnicy, być zawsze czysto ubraną jak inne w sukniach jedwabnych, weselić się, odpowiadać na wszystko żywo, z dowcipem i z odrobiną złośliwości, oto są przymioty, których nie spotyka się często. Widziałem to wszystko w pannie Antoninie, ale wtenczas myśl moja nie sięgała daleko; zazdrościłem tylko szczęścia posiadania podobnéj córki.

Ile razy przyszła koléj na obiad u pana Hieronima Hutin, byłem bardzo zadowolony. Jeżeli obiad był podany, siadaliśmy zaraz do stołu; w przeciwnym razie wychodziliśmy do ogrodu. Pan Hieronim krzątał się koło drewek, obcinał gałęzie, okopywał, podsypywał wapnem, słowem robił wszystko dla polepszenia bytu swych wychowańców. Nauczył się on tego podczas odbytych kampanii. Postęp, który robiły w nauce dzieci, zjednały dla mnie jego szacu-

nek a nawet i przyjaźń, co mię ośmieliło do otwartości i skargi na puste ławki szkoły. Stary strzelec słuchał uważnie i w końcu odpowiedział: „Masz słuszność, panie Renaud, największém jest nieszczęściem dla naszéj okolicy, że dzieci opuszczają szkołę dla strzeżenia kóz, dla drapania się po drzewach, wybierania gniazd i spełniania najrozmaitszych niegodziwości. W ten to sposób robią się z nich żebracy, włóczęgi i nicponie. Ale co chcesz, tak to jest już oddawna. Żeby to można było karami pieniężnemi zmusić rodziców do posyłania dzieci do szkoły! Jest to rzecz prefektów, zwierzchności i króla, którzy niewiele tém się zajmują. Co do mnie, chcę żeby się dzieci moje uczyły jak najdłużéj. Zanadto wiele widziałem smutnych skutków głupoty, ażebym dzieci nie miał zmusić do nauczenia się czytać, pisać i rachować. Ja n. p. żebym więcéj umiał, nie byłbym strzelcem, ale kapitanem a może i pułkownikiem, bo mi nigdy ani odwagi ani zdrowego rozsądku nie brakowało. Teraz nawet nie łatwo mi jest skleić prosty protokuł i to jest właśnie przyczyna, dla któréj pomimo znajomości lasów, jestem zawsze strzelcem... Co za nieszczęście.“

Poczciwy człowiek wiedział bardzo dobrze, że z kilku uczni nie mogłem wyżyć przez sześć miesięcy i chcąc mi pomoc, następującą rzecz zaproponował.

O trzy czwarte mili od Roches były trzy kolonie anabaptystów. Najstarszy z nich uczył dzieci biblii i ewangelii. Według tego co mi mówił stary strzelec, ubolewał staruszek, znany pod imieniem Jakóba, że nie może nauczyć swoich dzieci i wnuków utrzymywania książek, rachunków i innych przedmiotów potrzebnych do porządnego prowadzenia kolonii.

„Jeżeli chcesz“, mówił stary strzelec, „pójdę tam, lub też razem pójdziemy, a jestem pewien że ten człowiek szczęśliwy będzie znalazłszy kogoś, komu będzie mógł powierzyć naukę swych dzieci. Są to ludzie zamożni, zapłacą ci więc dobrze. Co sądzisz o tém?“

Niewymownie cieszyłem się z téj wiadomości i postanowiłem z niéj korzystać. Stanęło na tém, że jutro pójdziemy rankiem na kolonie, dla zrobienia umowy ze starym anabaptystą.

Stało się tak jak projektowaliśmy. W małą godzinkę stanęliśmy u drzwi; strzelec otworzył bramę, minęliśmy dziedziniec a we drzwiach stary Jakób witał już nas głośném: Dzień dobry!

„Przyprowadzam Wam człowieka, którego już znacie“, mówił strzelec; „jest to nauczyciel szkółki w Roches. Mówiłem mu o tém coście mi nieraz wspominali: że bardzo pragniecie nauczyć dzieci wasze rachunków.“

Stary patrzył na mnie z uwagą, jakby do głębi duszy chciał przejrzeć; i następnie rzekł otwierając drzwi:

„Proszę wejść, proszę! Jestem bardzo kontent że mogę tego pana poznać.“

Weszliśmy. Dziadek pochyliwszy się ku oknu zawołał na jakąś kobietę i następnie siadł przed nami na ławce. „Wyszliście z domu bardzo wcześnie“, mówił, „oto dopiero bydło na paszę wypędzają.“

W téj chwili weszła staruszka z twarzą pomarszczoną, czysto lecz skromnie ubrana.

„Salomeo“, zwracając się do niéj rzekł dziadek, „oto nauczyciel szkółki z Roches. Pan Hieronim nam go przyprowadził. Chce on uczyć dzieci nasze rachunków, co o tém sądzisz?“

„Trzeba posłać po Chryzostoma i Dawida“, odpowiedziała staruszka, „postanowicie razem.“

I w téj chwili wyszedłszy, posłała chłopca do pobliskiéj kolonii po stryjów. Wkrótce ci nadeszli. Dziadek opowiedział im w dwóch słowach powód mego przyjścia, i widziałem na twarzach tych ludzi, że się z chęcią na propozycyę zgadzają.

„Dwóch moich starszych synów“, mówił stary Jakób, „przed ośmnastu laty wyjechało do Ameryki. Piszą oni mi ciągle, ażebym i młodszych tam wysłał, że tam ziemia pierwszéj klasy sprzedaje się za bezcen, ale że chcąc coś zrobić trzeba wiele umieć. Człowiek w Ameryce wart jest tylko tyle, ile umie. Mnie się zdaje że i w domu kawałka chleba im nie zbraknie, byle tylko uczyć się i pracować chcieli.“

„Tak“, odpowiedzieli synowie: „trzeba się tylko co do ceny umówić.“

Stary Jakób rozbierał tę kwestyę i biorąc na uwagę że z przyczyny oddalenia nie mogę przychodzić na obiady i kolacye, muszę nieco lepiéj być płaconym. Po krótkiéj dyskusyi zgodziliśmy się, że za każde dziecko przychodzące do szkoły, będę pobierał cztery sous na miesiąc i że w zamian nauczę je rachunków, utrzymywania książek i pomiaru drzewa. Stary Jakób zakończył całą sprawę podaniem mi ręki.

„My cię znamy już oddawna, panie Renaud“, mówił dziadek; „wiemy coś był wart, jeszcze za pobytu twego w Chêne Fendu.“

Z tych słów zdawało mi się, że Jakób chciał napomknąć o wypadku z panną Zalie Bauquel; myliłem się jednak.

„Jesteś dobrym nauczycielem“, mówił daléj. Ale przed ukończeniem umowy, musisz nam coś przyrzec.“

„Co takiego panie Jakóbie?“

„Musisz przyrzec, że nie będziesz starał się nawrócić dzieci na swoją religię.“

„Co domnie, może pan być spokojny.“

„Co za dziwna myśl ojcze Jakóbie!“ Wtrącił stary strzelec. „Chyba nie znacie pana Renaud.“

„A więc mam twoje słowo“, rzekł do mnie dziadek, „to wystarcza.“

Następnie wziąwszy z szafki butelkę kirschenwasseru, przepił do wszystkich i umowa skończona była. Ja ze strzelcem bez straty czasu wyruszyliśmy w drogę.

(C. d. n.)

WRAŻENIA Z PODRÓŻY PO LITWIE I WOŁYNIU.

(Prelekcya miana w Towarzystwie Przemysłowem.)

Przed kilku tygodniami była tu z tego miejsca mowa o Słowianach między Elbą i Odrą, o ludach, które zawojował z zachodu na wschód szerokiem korytem płynący zalew Germanizmu, który krzewiąc wiarę Chrystusa wycinał i palił święte lasy Słowiańskich Bogów, ale który w imię téjże wiary, z imieniem Chrystusa na ustach, z krzyżem na chorągwi palił i niszczył siedziby spokojnych mieszkańców, zabijał mężów, uprowadzał kobiety w niewolę, tępił cały żywioł Słowiański z stanowczą, zimną rozwagą, z przekonaniem, że w obec pogan żadne okrucieństwo, żadna zbrodnia nie jest nie dozwolona, — odpoczął dopiero na wielkiém cmentarzysku, posianém w dosłowném tego słowa znaczeniu grobami, w których spoczywały urny z prochami mężów, którzy, jako prawo kazało, z ostatniém dopiero tchnieniem, zamknąwszy po raz ostatni powieki na nieszczęście narodu, wypuścili zbroczony miecz z dłoni wzniesionéj ku niebiosom z prośbą o pomstę.

Słowianie wyginęli; z historyi tylko dowiadujemy się, że gdzie dzisiaj dumnie się wznoszą przepychem jaśniejące stolice Germańskiego państwa, przed kilkunastu wiekami Światowid władał, Perkun z groźnem obliczem, a u ołtarzy jego palono rycerzy niemieckich, jako najmilsze mu ofiary. — Ale odwróćmy oczy od smutnego tego pełnego zgrozy obrazu zamierzchłéj przeszłości naszéj, zwróćmy się w przeciwną stronę z najdalszych zachodnich granic naszych na wschód, z wieków spoczywających pod popiołami czasu, w dni dzisiajsze. — Przez tysiąc lat świat przecież postąpił, postęp i cywilizacya coraz świetniej się rozwijają; świat wstydzi się dawniejszych swych idei; z uśmiechem lub z politowaniem męża, który przypomina sobie usiłowania i wyobrażenia z lat dziecinnych, czytają ludy w historyi swych praojców o dziwnych ideach i wyobrażeniach, które rządziły nimi i światem; szydzą z topienia lub palenia czarownic, ze zgrozą odwracają się od tych co szerzyli wiarę mieczem i ogniem, z nieudaném oburzeniem rozglądają się w krwawych dziejach inkwizycyi, starającéj się groźbą wpoić w ludzi przekonanie o świętości i o błogosławieństwie, jakie przynosi wiara; cieszą się, że w obec prawa znikła różnica stanów i religii, świat, zdawać by się mogło, już rozumny, szlachetny i szczęśliwy.

Jest że tak w rzeczywistości? Może świat dzisiajszy z spokojnem, otwartem okiem stanąć przed trybunałem historyi? Może nie rumieniąc się od wstydu, nie plwając sam na siebie, potępić ciemnotę, przesądy, zbrodnie czasów przeszłych?

Zwróćmy się, raz jeszcze mówię, ku wschodowi, a odpowiedź wątpliwą nie będzie.

Pod stopami dzikiego barbarzyńca, który chyba tylko ilością mil kwadratowych, zajętych przez siebie pustyń, imponować może, leży lud; upadł on prawda głównie z własnéj winy. — Powstaje, wytęża siły; — skutek, wymordowanie kwiatu młodzieży, zaludnienie Sybirskich pustyń i kopalni ludźmi, którzy potrafili myśleć za kraj, którzy potrafili prowadzić go do czynu; zniszczenie materyalne kraju, przyprowadzenie go do żebractwa.

Lecz nie tu koniec, — następuje postępowa cywilizacya, pokojowa praca. Wzrośnie nowa generacya, a z nią ludzie myśli i czynu, oszczędność, praca zagoi materyalne straty i znowu stanie lud z duchem, z inteligencyą, mieszkający w kraju bogatym, żyznym, nabitym w obec barbarzyńca ciemnego, rozlanego po nieprzejrzanych stepach, powstanie walka duchowa, w której zwycięstwo niewątpliwe.

Ale cóż łatwiejszego, jak w tych wiekach postępu wymyślić sposób, by zwycięstwo niemożliwe możliwém, koniecznem nawet uczynić! — Siebie ucywilizować, masy ukształcić, podnieść dobrobyt, zreformować prawo i jego wykonawców, to trudne lub niemożliwe zadanie, staje się więc w miejscu, wzdryga się tylko z ironią i pogardą ramionami nad wszelkimi nowoczesnymi frazesami o potrzebie cywilizacyi, odcina się natomiast przeciwnikowi wszelkie możliwe drogi i środki do osiągnienia tych samych warunków.

Ja barbarzyniec i ty nim być musisz za lat kilkanaście. — Otóż otaczają kraj pod względem umysłowym chińskim murem, przez cenzurę; utrudniają, często zupełnie uniemożebniają wszelki umysłowy stósunek z rodakami, w swobodniejszych żyjących stósunkach; znoszą wyższe i niższe zakłady naukowe, te, które zostawiają, przeznaczają na prawdziwe zakłady ogłupienia i ociemnienia, wypędzając z nich ludzi jakiéjkolwiek inteligencyi, zapełniając je natomiast prawdziwie zwierzęcymi typami podoficerów i praporszczyków ze słynnéj z inteligencyi armii, ograniczają i w tych jeszcze zakładach do jak najszczuplejszej liczby przyjmowanych uczniów Polaków, zakazują pod srogiémi karami rodzicom wychowywać swe dzieci nie już za granicą, co stósownie do ich zasad byłoby naturalnem, ale nawet w obrębie granic państwa, w tak zwanym innym okręgu naukowym.

W ten więc sposób znaczna część młodzieży zupełnie bez wyższego wykształcenia pozostać musi.

Lud prosty u nich na tym samym stopniu oświaty, co przed dziesięciu wiekami; otóż zdusić wypada naturalnie w samym zarodku wszelkie zachcianki przeciwnika, by lud ten u siebie podnosić i kształcić! — O zakładaniu szkółek naturalnie i mowy nie ma, lecz nie dość na tem, obywatel, który na swój koszt i własnem staraniem szkółkę zakłada, gdzie on sam wraz z żoną i córką dzieci swéj wsi pisać, czytać i pierwszych zasad religii chce uczyć, zostaje wysłany w głąb Rossyi, by miał sposobność, żyjąc między tamtejszym ludem, przekonać się, jakim to podług życzeń dobroczynnego rządu i u niego chłop być powinien. Ale i tego jeszcze za mało; wzbudzają nieufność, nienawiść w chłopie do pana, pana rujnują majątkowo przez najzgubniejsze przeprowadzenie pięknéj z kąd innąd reformy usamowolnienia włościan; chłopu przewraca się w głowie, propaguje się pijaństwo, przez co demoralizacya, rozpicie,

wreszcie bieda — takiéj pracy lat kilkanaście, a szanse zaczynają się wyrównywać, niemożliwe wprzódy zwycięztwo chwiać się poczyna, tylko konsekwencya, stanowczość, a na téj drodze, stanie się w końcu konieczném, naturalném.

Jeżeli do tego dodamy w pracy téj pokojowéj, powtarzamy, wszczepianie prawéj wiary nachajką i knutem, jeżeli całe osady Litewskie z kilkuset ludzi złożone za niechęć odstąpienia wiary ojców, w głąb Rosyi przerzucone, jeżeli dodamy rabowanie kościołów, przemienianie ich na cerkiew wywożenie biskupów w Sybir i mordowanie ich po drodze nie czasem dla tego, że uchybili obowiązkom poddanych, ale jedynie, że nie mogli i nie chcieli przenieść na swém sumieniu, by lud sobie powierzony ku schizmie prowadzić; — i widzimy, że Europa na to wszystko woła tylko słowami Sebastianiego „l'ordre regne à Varsovie", że sprawiedliwe ocenienie stósunków tych z zagranicy jest prawdziwą rzadkością, że natomiast cała prasa uważa stan ten za zupełnie słuszny, uznania godny, ba sławi nawet dobroczynne rządy, dobrotliwego cara; zważywszy to wszystko, pytam się, co można odpowiedzieć na powyżéj postawione pytanie, czy świat rzeczywiście powiedzieć może, że postąpił od dziesięciu wieków? — Nie dla tego zaprzeczylibyśmy temu pytaniu, że jest lud, który sobie w ten sposób postępuje, bo świat za lud jeden, tak, jak naród za jednego człowieka odpowiedzialnym czynić nie można, ale że świat cały do tyla postradał poczucie prawdy, cnoty i uczciwości, że nie potrafi rzucić głosu ogólnego potępienia na postępowanie takie; rzucające ochydę na wiek mieniący się wiekiem postępu i cywilizacyi. Jest mniejszą zbrodnią zabójstwo popełnić jak je uniewinniać, powiedział pewien mąż w starożytności, jest większą zbrodnią i hańbą nie umieć złego potępić, powiedzielibyśmy, jak je popełnić i ślepo w niem brnąć. — Lecz dosyć! Odwróćmy się od tych dowodów postępu i cywilizacyi 19 wieku, spojrzyjmy raczéj na tę ziemię naszą, na naturę, któréj dzikie barbarzyństwo wroga przetworzyć, zniszczyć nie potrafiło; ziemia ta świeci nam niespożytym blaskiem, spokojnie choć smętnie patrzy na stuletnią niewolę narodu; odwieczne lasy Litewskie nie ugięły czoła przed groźnym najeźdcą, nieprzejrzane stepy Ukrainy takiemi samemi pozostały, jakiemi były w tenczas, gdy się na nich rozstrzygały walki między rycerstwem Polskiém a Bisurmanami i Tatarami, gdy tętniły pod kopytami omamionych Kozaków, pędzących by szarpać łono Laszej ojczyzny. One zdają się teraz tylko boleć razem z narodem; lecz kiedyś da Bóg lasy piękniejszą się pokryją zielenią, stepy rzeźwiéjszém, czystszém owioną wędrowca powietrzem.

Popatrzmyż więc na te kraje nasze zawoławszy wraz z Syrokomlą:

„Mojéj ziemi łąki, gaje
Niechaj wami wzrok popieszczę —
Jak obaczę cudze kraje,
Bym was kochał więcéj jeszcze."

Są miejsca, które na każdym opisie tylko stracić muszą, człowiek gdy na nie patrzy tak przejęty jest ich pięknością, piersi jego takiém podnoszą się uczuciem, że klęknąłby, by się ukorzyć przed czarem dzieła Stwórcy, nie mogąc, nie umiejąc wypowiedzieć co się wtenczas w duszy jego dzieje.

Takie uczucia nie mogą nie owładnąc, choćby najzimniejszego człowieka, gdy patrzy we fale naszéj Wilii z gór Kowna lub Wilna, lub gdy płynie myślą razem z poważnémi wodami Dniepru, patrząc na nie z wysokich wieżyc starożytnego Kijowa.

Lokomotywa unosi pędem podróżnego przez żyzne okolice Prus naszych polskich, Malborg krzyżacki z poważnym zamkiem, gdzie obrano i osądzono Wallenroda, Tczew z olbrzymim mostem, rzuconym na Wiśle, Królewiec, Wierzbołów wreszcie, słynny czyli sławiony po ukazie przez Moskali, bo tu car zażartował sobie ze świata: jadąc na wystawę paryzką ogłosil tam bowiem szumną amnestyą zbuntowanym Polakam, która w rzeczywistości nikomu losu nie zmieniła. — Granica! Setki niższych i wyższych urzędników kolejowych, paszportowych i celnych, porządnie, elegancko nawet ubranych i czysto umytych po ukazie, boć tu Moskale stykają się z zagranicą, chodzi im więc o to, by ją oszukać pozorem i by Europa myślała, że tak wszędzie w granicach państwa białego cara.

Trzeba też zaimponować Europie, dowieść, że to fałsz, że w Moskwie są Moskale, Moskale, którzy potrafią utrzymać porządek i rygor, którzy potrafią stanąć na równi rozumem i sprężystością z zagranicą.

Z zupełną więc źle udaną kokieteryą zgromadzają tu Moskale wszystkie moskiewskie elementa; na które się w ogóle zdobyć mogli. Od Wierzbołowa do Wilna nie usłyszysz ani słowa inaczéj jak po moskiewsku; dzikie kacapskie twarze z Wielko-Rosyjskich lub Sybirskich gubernii, którym ukaz nakazał być ucywilizowanymi ale i Moskalami.

Ale zapuść się kilkanaście mil daléj, jedź daléj w głąb kraju ku Dynaburgowi, Smoleńskowi i Moskwie, — już żałujesz, żeś się podczas drogi od granicy męczył nad wyuczeniem się kilku wyrazów moskiewskich, najpotrzebniejszych w podróży, bo stają ci się najkompletniéj zbytecznymi. — Za Wilnem jesteś już nie jak w Polsce niestety, bo polskość tu przygnębili i podnieść jéj się nie pozwalają, ale jak w wielkiéj niemieckiéj ojczyznie. — Jeżeli widzisz zasmolonego człowieka, który w urzędzie swym doszedł co najdaléj do portiera, dzwoniącego, że pociąg ma ruszyć, to wiedz, że to Moskal; lecz jeżeli to już urzędnik, który sprzedaje bilety, lub je kontroluje, prowadzi pociąg, lub zawiaduje telegrafem, to z najzupełniejszą matematyczną pewnością można twierdzić, że to były mieszkaniec z nad Elby, Odry lub Renu. W czterodniowéj bezustanéj podróży miałem sposobność przypatrzenia się temu bliżéj. — W mieście jak Orel o 20 do 30 mil tylko od Moskwy oddaloném, najzupełniéj nie podobno innym językiem się rozmówić jak po niemiecku.

Wszyscy urzędnicy koleji i telegrafu Niemcy, i. to bardzo źle, lub nieledwie wcale po moskiewsku umiejący. — „Ich bin ein Sachse, ein Meklemburger von Geburt", słyszy się ze wszystkich stron i to są wszystko ludzie, którzy uczuciami bynajmniéj się nie wynarodowili, którzy tak samo iluminowali w dzień przyjścia wiadomości o Sedanie lub Metzu, jak ich współziomkowie w Berlinie lub Hamburgu, — którzy czują się tu panami sytuacyi, czują, że są potrzebni

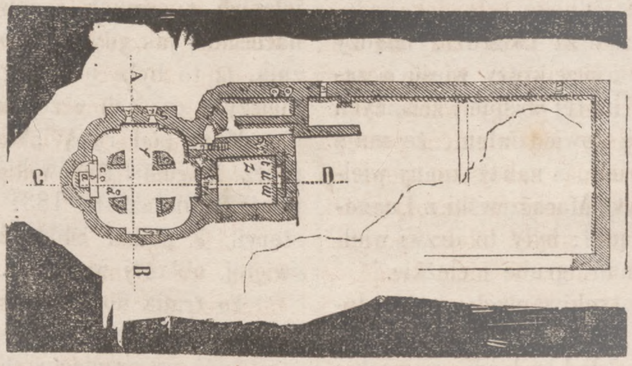
konieczni, bo bez nich nie wybudowanoby kolei, na wybudowanéj nie przewiezionoby pociągu ze stacyi do stacyi bez przypadku, ludzie, którzy nienawidzą Moskali i w żadne ani towarzyskie, ani familijne związki z nimi nie wchodzą. — I tak jest w każdéj branży, naturalnie w znacznéj progresyi im wyżéj ku górze to sięga. — Moskiewskie statystyczne zestawienia wykazały, że w armii n.p. między stu prostymi żołnierzami, żaden się cudzoziemiec nie znajduje, na stu poruczników 20 przypada Niemców, 80 Moskali, na stu zaś generałów 80 Niemców, a 20 tylko Moskali. — Kołokoł organ Herzena, zjadliwy ale wiele prawdy zawierający żart zrobił sobie z stósunków „najpierwszym generałem moskiewskim, mówi on, jest Berg, najpierwszym strategikiem Adlerberg, najpierwszym dyplomatą Staakelberg da stehen die Ochsen am Berge.“ — Ale biorąc rzeczy na seryo, każdy zrobi to zapytanie, czy ci Niemcy od generała począwszy, skończywszy na zugführerze, mający całą maszynę państwa w ręku, w razie wojny z Niemcami będą rzeczywiście tymi gorliwymi Moskalami, stawiającymi według sił wszelkie możliwe zapory, by rodakom utrudnić lub uniemożebnić zwycięztwo? To pewna, że ci Niemcy czują się tam jedynie Niemcami, że Moskale nienawidzą ich do wysokiego stopnia, że chcieliby się ich pozbyć, ale czują, że bez nich nieobyliby się, więc na chęci, groźbach, a najwyżéj na drobnych może szykanach poprzestać muszą.

(C. d. n.)

List Wgo A. Węsierskiego
do
J. Lelewela w Brukselli*).

(Z rycinami.)

Stósownie do życzeń W. Pana Dobrodz. oświadczonych panu Żupańskiemu w liście do tegoż pisanym w Listopadzie r. b., ile mogłem zebrać materyałów, badań, mappę okolicy i położenia owéj wyspy i jeziora, przysyłam do dalszego ich użycia.



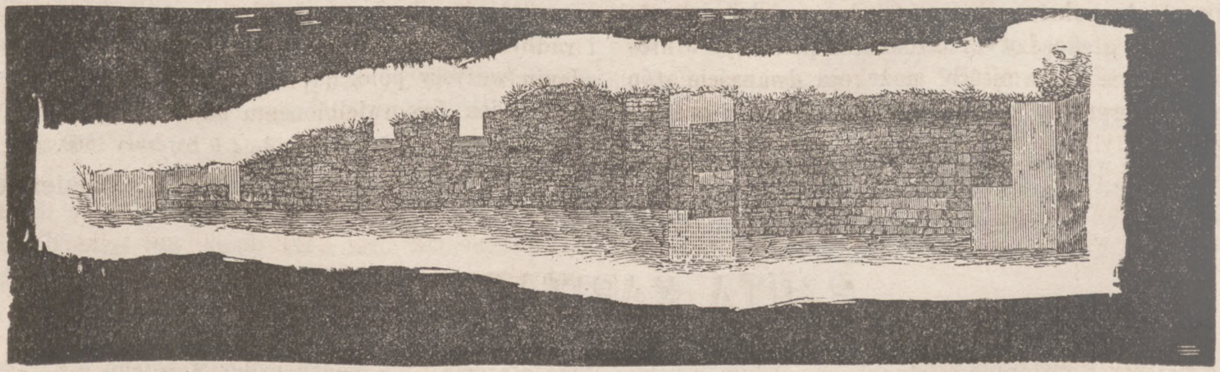
Plan wewnętrzny wykopalisk.

Wyspa Ostrów i Gnieznianką zwana, na któréj się owe ruiny znajdują ma 24 mórg magdeburskich rozległości, leży na lewo tuż obok dawnego gościńca, czyli traktu z Poznania ku Gnieznu jadąc, cztery mile od Poznania, dwie od Gniezna odległa, ślady dawnego mostu i pale dębowe w jeziorze do dziś dnia w dyrekcyi ku Gnieznu i ku Poznaniowi są jeszcze widoczne. W tym ostanim kierunku na tem samem jeziorze na części do Latalic należącéj jest wysepka mała, znacznie nad poziom jeziora sztuką wyniesiona i w tym kierunku most przechodził. Podanie gminne niesie, iż na téj wysepce miała być kuchnia królewska.

Jezioro, wyspa i okoliczne wsie jak: Rybitwy, Dziekanowice; Siemianowo, Waliszewo aż do naszych czasów, należały do rządu, tak zwanéj królewczyzny, czyli starostwa Pobiedziskiego.

W nowszych czasach ziemie te podzielone zostały, rozdane i rozprzedane pomiędzy niemców i chłopów przez rząd, a późniéj tę wyspę i część jeziora nabyłem przez publiczną licytacyą w roku 1856.

Przed kilkunastu laty, dziś nam panujący król, kazał robić przeszukiwania na téj wyspie i w jéj ruinach; oddano



Zwaliska Ostrów na wyspie w jeziorze Lednica pod Gnieznem.

*) Jako objaśnienie do rycin zamieszczonych, podajemy list tyczący się wykopalisk Wgo Węsierskiego do J. Lelewela pisany. Przy téj sposobności wyrażamy wdzięczność Wielmożnemu Węsierskiemu, za udzielenie materyałów i pomocy, bez których nie byliśmy w możności dać wyobrażenia Czytelnikom naszym, o wykopaliskach Ostrowskich, tak żywo zajmujących nie tylko archeologów polskich, ale i niemieckich. Wyniki badań hr. Przeździeckiego i A. Węsierskiego pomieszczone już były w kilku pismach. Szczupłość ram Sobótki niepozwala na równie obszerny rozbiór; poprzestać jesteśmy zmuszeni na załączonym liście, który jednak jasne daje pojęcie o rzeczy. (Przyp. Red.)

to budowniczemu Gaddów z Gniezna, który mało bacząc na ważność przedmiotu, więcéj starał się niweczyć ciekawe i wiekiem ośroniałe zabytki, aniżeli takowe odkrywać i zdać z działań tych rzetelne archeologiczne sprawozdanie; łamał i niweczył mury (n. p. ów łuk o którym Raczyński wspomina), szukał zapewnie skarbów; powiedział, że na tych sklepach mógł się tylko wznieść budynek z drzewa, a jednakowoż grubość murów i mocne wiązania sklepień z kamieni w sześcian obrabianych, zdają się temu uczonemu wywodowi zaprzeczać.

Pan budowniczy narobił wiele kosztów, napisał sprawozdanie, że się nie opłaci robić poszukiwań, że to więcéj rządowi straty niż zysku przyniesie. Zaniechano więc zamiaru dalszych poszukiwań, wyspę sprzedano, a ja zostałem jéj nabywcą.

Julian Ursyn Niemcewicz, w „Podróżach historycznych po Ziemiach Polskich" na str. 125 tak się wyraża:

„Wyjechał Chrobry przeciw cesarzowi Ottonowi do miejsca znanego Ilwa i t. d."

Raczyński w swym opisie: Wspomnienia Wielkopolskie, Tom II, Poznań 1843 r., na str. 375, w tych słowach opiewa (Wyspa na jeziorze pod Lennogórą):

„Wspomnieliśmy w poprzedzającym rozdziale o zamku w Ostrowie (Castrum i Ostrów) etc.*)

Być to zresztą może, co Raczyński twierdzi, między ludem wprawdzie do dziś dnia w okolicy krąży wieść o zakopaném złotém krześle, skarbach na téj wyspie i żelaznych drzwiach do sklepu, o których się dowiedziałem, że mają być po dziś dzień w ziemi zagrzebane, a nawet znany wielbiciel rzeczy krajowych Pan Benedykt Moraczewski z Lennogóry powiedział mi, że je sam oglądał: były to drzwi wielkiemi okrągłemi nabijane gwoździami, grube i ciężkie. Rzecz zadziwienia godna. Przy poszukiwaniach, które dotąd odkryłem więcéj się te ruiny zbliżają do świątyni pogańskiéj niż do zamku, najprzód i skład budowli, te wąskie przedziałki murów framugi na wysokość trzech łokci, w których znajdowano szkielety ludzkie; w jednéj zamurowanéj małéj framudze nad wschódkami odkryłem kawałki od urny w któréj był popiół, przy sklepie, w którym trzy szkielety ludzkie równoległe położone były, i obok pare dziecinnych, znajduje się wązki głęboki otwór do komina podobny, w którym chłopiec ledwie się wmieścić może, na dwanaście stóp dotąd w głąb odkryty, w którym był tylko popiół; w sklepie przy jednym szkielecie leżał długi gwóźdź rdzą bardzo okryty, poza murami napotykałem na pełno szkieletów ludzkich przesypanych ziemią, gipsem i ułamkami od urn; widocznie że tam poprzednio w urnach popioły chowano, późniéj jednak ta ziemia była wzruszona, w czasach, gdy grzebano przesypując ciała ziemią, gipsem czyli wapnem, którego zapas znalazłem w znacznéj ilości w jednym kąciku odkrytym w sklepie, niedaleko owego miejsca, gdzie ów ofiarny kamień na mapie poprzednio przesłanéj, jest oznaczony.

Badałem, dopytywałem się w Kapitule Gnieźnieńskiéj i szukałem czy nie będzie jakiéj wzmianki o jakim kościele; żadnego śladu nie można dojść, że kiedyś tam istniał kościół lub grobowiec; pomimo że wydobywałem kościotrupy, wielkości olbrzymiéj, obok których i dziecinne. Stare księgi kościelne przed kilku laty we wsi Dziekanowicach wraz z kościołem i plebanią spłonęły, szkoda wielka, bo może tam byłbym czegoś doszedł. Nie chcę przeczyć Raczyńskiemu, że tam mógł stać zamek Bolesława, w którym przyjmował Ottona, lecz z tego, co dotąd odkryte z tych kawałków, urn, popiołów, zamurowanych szkieletów w framugach, które znajdowano jak rząd jeszcze poszukiwania robił, z tych wykopanych zębów od żubra, zębów od dzika, jelenich i sarnich rogów widocznie siekierą i ręką ludzką naciesane, jak gdyby na ofiarę poświęconych zwierząt wskazują, iż to była poprzednio świątynia pogańska, a w późniejszych czasach grzebano ludzi całkiem.

Mam pod ręką „Wstęp krytyczny dziejów polskich" przez Augusta Bielowskiego, wydany we Lwowie 1850 r., powiada on na str. 183: „Massudi odróżnia podania od historyi. Z podań Słowiańskich przytacza tudzież o Górze świętéj, oblanéj wodą i t. d."

To trafia do mego przekonania, że prędzéj jedna z takich świątyń mogła tu się wznosić w pierwszych czasach, a późniéj po przyjęciu chrześcijaństwa, przerobiono na kościół, który w czasie napadów Czechów na naszą okolicę około Gniezna r. 1038, po Bolesławie Chrobrym mogła być zburzona. Nie jestem tak biegłym badaczem, bym mógł to zgłębić a przytém i czas mi nie pozwala mając inne zatrudnienia; lecz pamiątki narodowe umiem szanować i radbym udzielić świadomości takim osobom, na których zdaniu wszyscy polegają, nie mogę więc w lepsze ręce powierzyć ich, jak uwielbionemu od nas wszystkich Nestorowi.

Zakrzewo pod Kłeckiem, dnia 5 Stycznia 1860.

A. Węsierski.

*) Zdaje się że wyczytał to Raczyński, czyli raczéj P. Łukaszewicz z Kronikarza Szląskiego Anonima.

PSOTA KAPITANA ***

Za w. księcia Konstantego, słynął w polskim wojsku kapitan ***, z *** pułku ułanów, z żartów dowcipnych, konceptów różnych i figielków psotnych, które swoim płatał znajomym.

Pułk przechodził w czasie lata przez okolicę ***, gdzie przez dni kilka dla wypoczynku miał się zatrzymać. Proboszcz w . . . . owie, powiadomionym został, że i on załogę otrzyma — a będąc nader wesołego usposobienia i zamożnym, poprosił, ażeby mu dano na kwaterę kapitana *** i oficerów kilku.

„Nacieszę się z nimi, pośmieję, bo kapitan musi mi płatać figielki, oj musi!" powtarzał wesoło, zacierając ręce z radością.

Kazał wszystko przysposobić na wygodne przyjęcie po-

żądanych gości, zaopatrzył piwnicę i spiżarnią — i sam ochoczo krzątał się po domu, by wszędzie przestrzegać ładu i porządku.

Wreszcie upragniona nadeszła chwila. Zawiały chorągiewki, połysnęły lance i poczciwy proboszcz radośnie na dziedziniec pospieszył, gości swoich powitał, ucałował, wprowadził do pokoju i zaraz na wstępie doskonałym węgrzynem i sutą poczęstował zakąską.

„Szanowni Panowie, łaskawi!“ podniósł gospodarz kielich. „Witam Was wszystkich z całego serca, dzielni synowie Marsa! Boć na Wasz widok, to i każda polska raduje się dusza. Zatem, ku czci naszego wojska! Niechaj żyje!... A wrogów bije!“ Zaśmiał się wesło. „Wiwat! rycerze nasi“ i spełnił kielich aż do dna.

Oficerowie podziękowali w imieniu wszystkich i wnieśli zdrowie gospodarza.

„A teraz“ wymówił proboszcz z podnieconym na licu rumieńcem, w szczególności zdrowie komendanta, zacnego kapitana ***. „Niechaj nam żyje! i wesołe płata figle!“ Zaśmiał się, że aż mu połysnęła źrenica i kielich raźno przechylił.

Kapitan podziękował tak samo.

„A szanowny, kochany, jedyny łaskawco!“ zawołał znowu gospodarz, „pragnąłem oddawna znajomości Twojéj, rycerzu waleczny! Wyprosiłem sobie, ażebym Ciebie pod moim dachem mógł powitać, uściskać, ucałować. Przyjmij więc co chata ma moja, bo czém bogata tem rada.“

„Przyjmujesz nas sercem, najszanowniejszy Dobrodzieju, sercem polskiem i duszą polską“ odrzekł kapitan, „to i najszczęśliwsi jesteśmy z gościny takiéj.“

Uścisnęli się nawzajem.

„Ach! łaskawco!“ zaczął proboszcz jeszcze, „mam prośbienkę jedną do Ciebie!“ uśmiechnął się znacząco.

„To i jakaż to może być prośba? Naprzód już przyrzekam wszystko.“

„Ot... ażebyś mi jakiego wesołego figla wypłatał!“

Rozśmiali się wszyscy.

„Dowcip Twój słynie, słyną żarciki Twoje, a ja namiętnie lubię takie wszystkie koncepta. Mój łaskawco jedyny, proszę o jaki dobry figielek!“

„To dobrze, proboszczu kochany“, odrzekł kapitan, „uczynię co potrafię; ale nie zawsze to usposobienie bywa po temu. Są kłopoty...“

„Kłopoty?“ przerwał mu proboszcz. „Jakież kochany kapitan może mieć kłopoty?“

„Każda Teresa ma swoje interesa, Dobrodzieju kochany. To koń zakuleje, to kochanka zdradzi, przyjaciel zawiedzie, wierzyciel naciska, w karty się przegra...“

„Ej, łaskawco, to chyba wszystko jeno frachy dla Ciebie!“ zawołał proboszcz. „Koń wyzdrowieje, a jeźli nie, to pal go w łep!... Kochanka? Ej, gdzie strona, tam dla żołnierza i ona!... A co do reszty, to... gdybyś kiedy, zarumienił się, to tego... kapitanie, to... jak to czasem... odkrząknął, tam tego... potrzebował. To i... sięgnij do mojéj kieszeni“, wykrztusił wreszcie poczciwiec i odetchnął.

Uściskali się znowu, ucałowali i kapitan przyrzekł, że jeżeli tylko podoła, to spłata jakiego figla, z którego gościnny gospodarz pośmieje się trochę.

Wieczorem długo siedzieli z sobą przy herbacie, przy wybornym ponczyku po wyśmienitéj wieczerzy. Prawili i baraszkowali. Kapitan dowcipkował. Koledzy różne jego opowiadali psoty, że proboszcz zanosił się od śmiechu i aż mu łzy z oczów biegły.

Wreszcie powiedzieli sobie: dobra noc. Gospodarz odprowadził gości do ich pokoi. A potém w swojéj komnatce do brewiarza zasiadł, ażeby zwykłym powinnościom zadość uczynić. Zaledwie wszelako pół godziny upłynęło, gdy wbiegł Tomek woźnica, blady, przerażony i załamując ręce, ze łzami wybełkotał:

„Dobrodzieju!... O Jezu! Jezusińku!... Toćże nam konie ukradziono!“

„Co ty gadasz?“ porwał się proboszcz. „Śnisz, czy co?“

„A dałciby niebieski, abym śnił!“ Tomek znowu załamał ręce, „ale dyć je ukradli! O Jezu! O Jezu!“

„Do stu piorunów, a gdzieś ty był?“ grzmotnął proboszcz zniecierpliwiony.

„Oj... Dobrodzieju!“ Tomek ze skruchą złożył dłonie, „ułani, oj za bramą różne tam wyprawiali harce, i pogapiłem się z drugimi... Jezu! mój Jezu!“

Proboszcz głowę zwiesił i już nie łajał. Bo i jakżeż miał łająć? On sam słuchał żarcików kapitana i oficerów, to i Tomek popatrzał się na żołnierzy.

„Potrzeba szukać! gonić!“ zawołał nagle. „Jutro jest jarmark w ***...“

„Jużci, jużci, Dobrodzieju! Pewniusieńko tam z niemi popędzili.“

„Chodź!“

Proboszcz pobiegł do pokoju kapitana, który właśnie zabierał się do spoczynku.

„Kapitanie! Łaskawco jedyny, kochany, ratuj!“ zawołał.

„To i co proboszczu? Cóż się stało?“ pytał kapitan.

„Konie wyprowadzili mi ze stajni! ukradli!“

„A to historya!“ rzucił się kapitan. „Przecież są ułani moi!“

„Byli za bramą, tam się bawili, a tymczasem złodzieje zakradli się od tyłu.“

„Fatalizm! Serdecznie jestem zmartwiony, kochany proboszczu.“

„Przyszedłem z prośbą do Ciebie, kapitanie, ażebyś mi pozwolił koni swoich i ze dwóch ułanów do pogoni, byśmy złodziei może dopędzić potrafili. W miasteczku jest jarmark...“

„Proboszczu! Usłużę ci z całéj duszy. Masz moje własne konie. Ale wybacz, ułanów dać nie mogę, bo to sprzeciwia się regulaminowi...“

„No, no! To i mniejsza! Daj mi tylko łaskawco, dwa konie. Wsiądę na jednego, a na drugiego Tomek.“

„Jakto, Proboszczu! Sam chcesz pogonić?“

„A nie inaczéj. Najlepiéj to każdy sam własnego dopilnuje interesu.“

„Wielka prawda. Ale zmęczysz się Proboszczu.“

„To i co? Pójdzie na zdrowie, byle tylko znalazły się szkapiny.“

„Ależ pospiech potrzebny. Hej! Antoni!“ zawołał na służącego. „Niechno tam Pazdralski natychmiast okulbaczy moje dwa wierzchowce i przyprowadzi... Dobrodzieju! tylko mi ich bardzo nie zmachaj.“

„Daję słowo, że ich nie zmęczę. A dziękuję Ci z duszy, kapitanie!“ Proboszcz go ucałował serdecznie. „Zabiorę się w téj chwili.“

Wybiegł. Krzyknął na Tomka. Pazdralski konie przyprowadził. Dosiedli ich i pogonili ku miasteczku.

Noc była dość ciemna. Do miasteczka dwie dobre liczono mile. Pędzili co ducha starczyło — i proboszcz zapomniał, że przyrzekł koni nie zmęczyć. Ale ten pospiech był potrzebny — konieczny. Należało się powiadomić burmistrza, by wszelką policyjną zarządził baczność. Nadto chcieli tu i owdzie po stajniach i zajazdach przepatrzeć.

Tymczasem dnieć zaczęło, zanim do miasteczka dojechali. Pędzili ciągle bez wytchnienia. W tem odezwał się Tomek:

„Dobrodzieju!“

„A co tam?“

„Dobrodziej iście, jakby na naszéj jechał kobyle.“

„Co ty pleciesz?“ obejrzał się Proboszcz na niego. „A do stu piorunów...“ zawołał nagle i zatrzymał konia. „Toćże ty niby na białéj-nóżce siedzisz!“

Proboszcz zsiadł i Tomek zeskoczył. Konie były spienione i mocno piersiami robiły.

„Chryste Jezu! Dobrodziejaszku!“ zawołał Tomek, składając dłonie, „toćże to, widzi Bóg, nasze właściwe, ukradzione konie!“

Proboszcz chwilę zadumany postał, pokręcił głową, przyjrzał się koniom, poklepał je, znowu głową pokręcił, a potém głośnym parsknął śmiechem. Tomek zdziwiony spojrzał.

„O kapitanie! Figlarzu kochany!... Czego chciałem, to i mam!“ Proboszcz pośmiał się znowu. „Bodaj ciebie Bóg miał w swojéj opiece!... Dalejżéj Tomku, napowrót!... Niech wszelako konie wysapią się trochę.“ Pogłaskał je i poklepał z pieszczotą.

„Co téż to?“ podrapał się Tomek w głowę. „O Jezusieńku, żeśmy to na swoich koniach, niby to nasze właściwe ukradzione gonili! Co téż to za cudeńki!“

„No, daléjże!“ Proboszcz dosiadł kobyły.

Tomek wskoczył na biało-nóżkę — i daléjże drała na powrót.

„A wolniéj! wolniéj!“ powtarzał proboszcz, „niechaj ochłodną.“

Dzień był jasny, gdy na probostwie stanęli. Wybiegł na ich spotkanie kapitan, za nim oficerowie — a wreszcie ułani.

„Proboszczu!“ wołał pierwszy, jedyny, kochany! Wybacz! Daruj!“

„Oj, oj! figlarzu!“ Pogroził mu proboszcz, zsiadając i dobrodusznym wybuchnął śmiechem.

„Proboszczu, a konie zziajane!“ głaskał je kapitan.

„Bodajże Cię Bóg kochał!“ zawołał tamten wesoło, od szybkiéj jazdy rumiany. Żeby mnie tak w noc ciemną, na rozstajne wysłać drogi, by na własnéj kobyle, złodziei gonić!“

„Proboszczu kochany! Dobrodzieju!“ objął go kapitan oburącz. „Toćże chciałeś figla, żądałeś koniecznie, prosiłeś! A mnie inny nie nawinął się koncept.“

„Bóg zapłać i za ten!“ Proboszcz w obadwa ucałował go policzki, że aż kląsnęło. Bo i unieśmiertelnisz mnie chyba tym swoim konceptem, gdy go wszędzie opowiadać będą. A jeszcze i gotów kto kiedy napisać. To téż in gratiam tego, sproszę jutro sąsiadów i stypką kochanemu kapitanowi ten figielek odwdzięczę. Tylko mnie już podobnie drugi raz nie wywiedź w pole, łaskawco!“

„Wybacz! wybacz Proboszczu!“

„I zajrzyj czasem do mojéj chaty za karę!“

„Z przyjemnością najwyższą!“

„Ułanów uraczę także, boć i oni pewnie w zmowie byli.“

„Niech żyje ksiądz Proboszcz!“ zawołali jednogłośnie żołnierze. „Wiwat! Niech żyje.“

P. W.

PODRÓŻ
DO NOWO ODKRYTYCH KRAIN.

(Dokończenie.)

Na każdéj miernéj nawet mapie łatwo znajdziemy rzekę Missoury i jedną z jéj największych zatok Jellowston. Brzegi téj rzeki, mianowicie części wyższéj, są prawdziwym krajem cudów, znanym dopiero od roku 1870 z opisu ogłoszonego przez amerykańską ekspedycyę pod przewództwem Washborna wysłaną. Rzeka Jellowstone wypływa z wysokich skalistych gór. Niedaleko od źródeł, góry coraz wyższemi się stają, okolica coraz piękniejszą i romantyczniejszą. Szczyty tych olbrzymich gór (przeszło 10,000 stóp wysokich) są wiecznym śniegiem i lodem pokryte, a między niemi są głębokie wąwozy i przepaście (Cannones), o ścianach prostych, gładkich, jakby umyślnie ręką olbrzymów obciosanych.

Okolica cała jest wulkaniczna; ciepłych źródeł i gejzerów wodę i błoto wyrzucających jest tam tysiące. Na nowo odkrytéj 10,400 stóp wysokiéj górze Maunt Washburne grunt jest całkiem pokryty źródłami siarczaną wodę mającemi, z których się nieustannie para z siarczanym zapachem wznosi.

Godnemi uwagi także mają być liczne wodospady rzeki Jellowstone, z których woda przeszło na 100 stóp spada.

Cała okolica jest bogata w piękności przyrody, i zapewne kiedyś, mianowicie gdy prądy ludów jeszcze daléj ku zachodowi się posuną, stanie się miejscem zwiedzaném przez chorych, a bardziéj jeszcze przez zdrowych nie mających nic lepszego do czynienia, jak włóczyć się po bożym świecie dla szukania przygód i szczęścia.

Z Azyi do Ameryki — z Ameryki do Australii, taką podróż myśli ułatwia nam podmorski telegraf; czemuż nie korzystać z tego ułatwienia? Daléj zatém do Australii, do kraju sprzeczności, jak to zaraz zobaczymy.

Australia ma psy nieszczekające, aczkolwiek zresztą wszelkie inne obowiązki psą wypełniają.

Australia ma wielkie stada owiec nader tłustych; lecz znawcy w sztuce kuchennéj twierdzą, że to mięso nie posiada téj delikatnéj soczystości, jaką się ono u nas zaleca, jak również znawcy znów twierdzą, że choć wełna z tych owiec jest nader cienką, to jéj jednak brak elastyczności; jest ona zbyt krucha i szorstka do delikatnych wyrobów.

Ptaki w Australii są przecudne, niema piękniejszych w świecie. ale cóż kiedy — żaden z nich nie śpiewa.

Czarujące dzieci flory mają tam tę właściwość, że są pozbawione zapachu. Twierdzą nawet, że przeniesiona z Europy najwonniejsza róża w Australii powoli traci swą woń.

Jest tam wiele drzew zrzucających na zimę zewnętrzną warstwę kory a zatrzymujących liście przez całą zimę.

Tu rosną najpotężniejsze drzewa w świecie, prawdziwe olbrzymy, jakich nie znajdzie człowiek na całéj kuli ziemskiéj; ale czy wierzycie, że pod temi olbrzymami człowiek nadaremnie szuka cienia, gdy słońce 45 stopniami ciepła dopieka? A jednak tak jest rzeczywiście; drzewa te prawie cienia nie dają, co pochodzi z dziwnego sposobu osadzania liści, które pionowo są zwieszone.

Rzeki w porze deszczów występują ze swych brzegów na 5 do 10 metrów i więcéj nawet, zalewają równiny, zrządzają szkody w miastach i wsiach i wylewy takie częstokroć, jak to i w przeszłym roku było, trwają przez Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Wrzesień i Październik. Potém zaś znikają prawie w swych korytach, po części całkiem nawet wysychają, a widząc je wtenczas, człowiek sądzi, że to najnieszkodliwsze ruczaje w świecie, przez które nawet dziecko bez obawy brodzić może. Tam zaś, gdzie w porze dżdżystéj człowiek widział ocean słodkiéj wody, unoszącéj całe jego mienie, w czasie upałów ziemia pęka przepalona przez promienie słońca, trawa usycha bo jéj brak nawet rosy, a częstokroć człowiek mdleje i nie ma kropli wody dla jego orzeźwienia w całéj okolicy.

Nadchodzi Grudzień, Styczeń, Luty, Marzec. Wiatr nagle zaczyna dąć z północy, od równika, i żar przynosi na swych - skrzydłach. Rtęć w termometrze podnosi się i nawet w cieniu pokazuje, 45° ciepła. Organy oddechowe napełniają się nie brakującym nigdy w czasie tego wiatru kurzem i pyłem; człowiek wtenczas żyje dosłownie w atmosferze piasku. Miliardy drobniutkich muszek nieustannie stara się dostać do ócz, do ust naszych, w ogóle do wilgotnych części ciała, a kiedy one pod wieczór znikają, to chyba tylko dla tego, żeby nas przez całą noc zostawić na pastwę moskitów, które człowieka do rozpaczy doprowadzić mogą. Jeśli ten wiatr potrwa kilka dni z rzędu, co dosyć często nawet bywa, ludzie i zwierzęta upadają z osłabienia. Nagle wiatr się obrócił z przeciwnego kierunku, dmie z południa! W całéj przyrodzie powstaje zamięszanie, rewolucya najstraszniejsza. Burza straszna, grzmoty, pioruny straszą człowieka, zwierzęta uciekają, szukając schronienia; chłodny wiatr od strony morza jednak orzeźwia wszystko. W przeciągu jednéj godziny termometr spada o więcéj niż 25° C.

Te wszystkie nagłe zmiany jednak człowieka prędko zużywają; człowiek tu nie starzeje się latami, lecz miesiącami, dniami nawet. On się tu zużywa nierównie prędzéj niżeli w innych częściach świata, nie wyłączając nawet środkowéj, podrównikowéj Afryki.

Temu wszystkiemu odpowiadają stósunki gruntu. Tu widzisz przestrzenie bez krańca pozbawione wszelkiego życia dla braku wody; tam znów najżyźniejsze błonie, również bez granic, uśmiechają się i wabią do siebie, obiecując ogromne zyski.

Jako dowód tego służyć może statystyczny wykaz kolonii Wiktorya z ostatniego żniwa, z którego się pokazuje, że z akru zebrano 2340 funtów pszenicy, 2080 funtów jęczmienia, 1890 funtów owsa. Kartofli zebrano znaczne masy, a pojedyńcze sztuki ważyły do 5 funtów. Kapusta bywa olbrzymia, głowy ważące po 35 funtów, a strąki fasoli mają do 470 milimetrów długości.

I człowiek téż w Australii ulega wpływom tych sprzeczności natury, boć to on, jak to w innym artykule pokazałem, jest płodem przyrody téj okolicy w któréj się urodził, lub przez dłuższy pobyt aklimatyzował. Całe życie kolonistów tutejszych obraca się w ekstremach, krańcowościach i z jednego ekstremu wpada prędko w drugi. Dla tego téż zmiana losu jego i jego rodziny jest najczęściéj nagłą, niczém nie przygotowaną. Nieustannie wpada on z jednego położenia do drugiego, rzuca jedno zajęcie, żeby się chwycić drugiego wprost przeciwnego, dla tego téż fortuna człowieka tu bystrem kołem się toczy. Dziś on wielki, jutro mały, czyli jak nasze przysłowie powiada, „na wozie i pod wozem.“

Życie publiczne téż nie mniéj jest przepełnione sprzecznościami. Kiedy niedawno temu, bo zaledwie kilka miesięcy, Anglik odznaczający się urodzeniem i wykształceniem, a będący ciężko pokrzywdzony na swym honorze przez żonę swoją, sam sobie sprawiedliwość wymierzył, w pięknéj mowie do sędziów, tak mógł się wyrazić.

„Australia jest rajem bezczelnych bohaterów języka i pióra, ale nie broni ona człowieka, którego honor został splamiony. Nie śmiem się opierać waszemu surowemu wyrokowi; lecz powiem iż on jest wynikiem charakterystycznéj sprzeczności, wspólniéj wszystkim krajom, w których dla pozornéj swobody, jednoski tracą swe całe znaczenie.“

Kobiety tu w ogóle więcéj dominują, niżeli gdzieindziej, z wyjątkiem tylko stanów północnéj Ameryki i częstokroć tyranizują mężów, aczkolwiek ci zdaje się tego nieczują. Tak z resztą namiętnie lubią mocne piwo i gorące napoje, jak mężczyźni i być nieco „tipsy“ (podchmieloną) jest

w modzie i „robi się dla zdrowia“, dla wzmocnienie atakowanych przez klimat nerwów. Statystyka General Registratora w rozmaitych koloniach przechowuje między innemi wykazy ukaranych przez rok za pijaństwo indywiduów i na nieszczęście przyznać trzeba, że zwykle w tych wykazach jest napisanych tyle kobiet ile mężczyzn. Wieczorem przechadzka po mieście, jak St. Sydney, sprawuje najnieprzyjemniejsze wrażenia dla bezwstydu, jaki okazują kobiety.

Razu pewnego przybył do pewnego lekarza w S. Adelaide młody człowiek, który na europejskim uniwerzytecie pięciotelni kurs skończył, prosząc go o radę co do karjery, któréjby się mógł z powodzeniem poświęcić. „Czem Pan jesteś?“ spytał się lekarz. „Studjowałem na uniwersytetach w Lipsku i . . . „Dosyć tego“, przerwał doktor, „ja tylko radzić Panu mogę byś ukończył uniwersytet w Australii.“ „Co to ma znaczyć?“ zapytał się młodzieniec zdziwiony. „To Panu zaraz powiem; dla ludzi, którzy ukończyli uniwersytet, — z wyjątkiem lekarzy, — nie ma tu innego pola, jak tylko paść owce bogatego squattera. Tam, ci panowie, mają spokojne życie. Używają w takiem położeniu „plenty of mutton“ (w dostatku baraniny), pobierają rocznie 40—50 funtów szterlingów, mając przytém jeszcze dużo czasu dla studjów. Walka, którą niekiedy toczyć muszą z dzikimi, jest tylko przerwą monotonności, a zresztą dla czegóż też nauczyli się oni na uniwersytetach fechtunku!“

To nazywa się w Australii być na uniwersytecie. Młody ów człowiek prawie oburzony opuścił lekarza, nie słuchał jego rady, biedolił się przez rok cały, pracując ciężko ale w końcu przeszedłszy przy pomocy energicznéj woli biedę, wrócił do Europy jako człowiek majętny. Lecz on sam przyznaje, że jest wyjątkiem z ogólnéj reguły i że podobni jemu w Australii owce pasą, bo Australia to — kraj sprzeczności.

Na tém dziś kończę moją „podróż do nowo odkrytych krain.“ Może nie za długo znów będą miał sposobność czytelnika, oprowadzać po innych okolicach naszéj kuli ziemskiéj i pokazać mu inne obrazy.

Obowiązkiem jest naszym zajmować się tem, co ludzi się dotyczy, czy to się znajduje wśród lodów północnego oceanu, czy też wśród gorących piasków pustyń Afryki, albo w Savonnach Ameryki. Człowiek jest panem ziemi, — tak w dumie swéj twierdzimy, — a pan znać powinien swoje mienie.

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Autobiografia kawałka kredy.

Z papierów Starego Nauczyciela.

(Ciąg dalszy.)

Lecz wróćmy do mojéj historyi, od któréj nieco odbiegam. Tysiące tysięcy lat leżałam ja i rówienniczki moje na dnie morza; przez ten czas zaszło wiele zmian na świecie, których kilka ja jeszcze pamiętam.

Powiedziałam ci już, że woda różne części składowe skał i ziemi rozpuszcza i do morza zanosi. Między temi częściami była już w owym czasie ta materya, z któréj się głównie składa piasek; dno właściwie nazywa się krzemem. Pomiędzy pracującemi nieustannie zwierzątkami były i takie, które zamiast wapna, tę materyę brały do zbudowania sobie mieszkań swoich. Po śmierci mieszkańców, domki te również opadały na dno morza i zmięszały się z naszemi bez porządku. Trzeba ci jednak wiedzieć, że te dwa gatunki skorupek miały skłonność do leżenia jak najbliżéj siebie; wszak wiesz, że swój ciągnie do swego. Skutkiem tego utworzyły się ze skorupek krzemowych osady w kształcie okrągłych kupek, gniazd i warstw podłużnych jakby wstążek rozciągających się niekiedy bardzo daleko po szlamie naszym. To też nasza warstwa rosła i rosła i coraz grubszą się stawała. Każda nowa warstwa cisnęła wszystkie pod nią leżące, powstał ogromny ciężar, powiększony jeszcze przez niesłychane ciśnienie wielu tysięcy stóp głębokiéj wody oceanu. Skutkiem tego spodnie warstwy zupełnie stwardniały; kupki krzemowe nawet do tego stopnia, że stały się twarde; odłamów ich używacie obecnie jeszcze jako krzemienie do krzeszenia ognia, a z warstw wapiennych domków, do których i mój należał, utworzyła się kreda taka, jak ja leżąca przed tobą.

Kiedy tak drobne zwierzątka pracowały, by z wody morskiéj oddzielić materyą na swoje mieszkanie, krzemień i kredę, żyło także już w morzu wiele innych stworzeń. Niektóre z nich miały bardzo dziwne kształty, inne nawet były przestraszające; wszystkich ci wyliczyć nie mogę. Te zwierzęta, pożerające się i prześladujące na wzajem po największéj części przed bardzo dawnym czasem wymarły, a inne gatunki ich miejsca zajmowały, mniéj lub więcéj podobne do owych. Wasi uczeni znają je prawie wszystkie dokładnie i ponadawali im dziwne jakieś greckie i łacińskie nazwy. Znają oni te utwory, bo zebrali mozolnie skamieniałe ich kości, które z sobą jedną po drugiéj połączyli. Inne znów są im tylko znane ze śladów, odcisków, jakie ich ciała pozostawiły na stężonym już, ale nie twardym jeszcze szlamie. Ja zaś wszystkie widziałam jak koło mnie pełzały lub pływały, a na wspomnienie ich mrowie mnie przechodzi.

Wtenczas to było bardzo wiele muszli, i gąbki były wstawiane jedne w drugie, jak u garncarza na rynku doniczki. Niezliczone mnóstwo jeżów morskich pełzało po dnie morza, a ich ostre kolce wstrzymywały każdego morskiego rozbójnika od prześladowania. Ryb zaś było niesłychana masa. Żyło także w owym czasie zwierzę zwane przez was, gwiazdą morską, o którem sobie marynarze

okropne historye opowiadają — na szczęście wszystkie zmyślone. Miały to być ogromne straszydła, o długich jak wielkie węże ramionach, któremi obejmując okręta, takowe ze wszystkiem co na nich było, do głębi morza wciągały. Takich potworów nie było nawet za moich czasów, a cóż dopiero obecnie. Prawda, że te morskie gwiazdy, które ja widziałam, były niesłychanie żarłoczne, były czyścicielami ulic morskich, pochłaniającemi wszystko, co tylko wpakować w siebie mogły, jak w próżny worek. Wszystko, co tylko do nich się zbliżyło, co tylko uchwycić mogły do tego wiecznie próżnego worka powędrowało, muszle, ślimaki, ryby, nawet brat brata połykał; lecz okrętom waszym nie byłyby w stanie zaszkodzić.

Przypominam sobie także, że ogromną liczbę wielkich rekinów widziałam, ścigających z dziką chciwością inne mniejsze od nich ryby. Lecz nad temi rekinami znów panował ogromny jaszczur 15 do 16 stóp długi z paszczą krokodyla, uzbrojony w zęby o formie sztyletów. Ten jaszczur jednak nie miał ani nóg, ani też pletw, ale prawdziwe wiosła, któremi się z szybkością błyskawicy w wodzie przenosił z miejsca na miejsce. Mogłabym ci jeszcze bardzo wielką liczbę rozmaitych zwierząt opisać, lecz na to potrzebaby bardzo wiele czasu. Dla tego ci tylko to jeszcze powiem, że wszystkie, czy to małe czy też wielkie, umrzeć musiały. Ciała ich opadały na dno morza, i leżąc w szlamie zgniły, a tylko ich kości przesiąkły drobniutkiemi skorupkami z kredy i krzemu, tym sposobem skamieniały, albo też szlam stwardniał, zachowując dobładny odcisk formy ich ciała jakby pośmiertne maski z gipsu zrobione. Tak pozostawiły wszystkie te zwierzęta niezbity dowód tego, że kiedyś istniały; tak napisały one historyę swego żywota w ziemi i w kamieniach, a po upływie wielu tysięcy lat, przyszedł człowiek i nauczył się czytać z tych znaków, wyrażonych jakby litery w książce, i z nich to dowiedział się co było przed milionami lat. Pojmujesz zapewne jak ważną była praca owych drobniutkich zwierzątek, do których i ja należałam, a tak jak było, tak i jest po dziś dzień jeszcze. Żadne stworzenie nie jest tak małem, żeby nie miało swego przeznaczenia w ekonomii przyrody.

Czas leciał jak prądy morskie, potaczające fale na demną. Coraz nowe przybywały utwory, wypierając dawne starsze, i znów zaginęły we wiecznem krążeniu życia i śmierci, we walce o byt. I naszém nie było przeznaczeniem pozostać na zawsze na dnie morza. Od czasu do czasu uczułyśmy lekkie trzęsienie pod nami, które poruszało dno morskie i wodę. Przypomniało to nam tę prawdą, że w środku ziemi, w jéj wnętrzu pracują jeszcze ogromne siły, przyczyniające się także, chcąc nie chcąc, do zbudowania ziemi. Jednem słowem były trzęsienia ziemi, powtarzające się w dłuższych lub krótszych ustępach, aż wreszcie spostrzegłam, że już woda nademną nie tak głęboka, bo też i światło jaśniejsze do nas przybywało. Morze na którego dnie leżałam z memi towarzyszkami, stało się płytszem, a choć to bardzo powolnie się odbywało, tak że przez sto lat zaledwie o kilka stóp wody nad nami ubyło, w końcu jednak wyniesłyśmy się nad wodę. Możesz sam sobie wyobrazić, ile na to potrzeba było czasu, kiedy weźmiesz na uwagę, że z początku kilkadziesiąt tysięcy stóp głęboko byłam pogrążona w wodzie.

Kiedy to się działo tam, gdzie ja leżałam, w innych stronach świata znów ziemia się zatopiła i leży obecnie głęboko pod wodami oceanu, w którym znów takie drobne istoty jak ja, pracują nad utworzeniem warstw kredy, lub krzemu. Jest nieustanna zmiana, nieprzerwane krążenie na ziemi. Woda zajmuje miejsce lądu, ziemia występuje, gdzie była woda; rośliny, zwierzęta, a nawet wy ludzie — wszystko się zmienia, wszystko ma swoje przeznaczenie. Siły przyrody nigdy nie odpoczywają, nigdy nie świętują, one muszą bezustannie działać, tworzyć, pracować.

Przestrzeń, na któréj działo się to wszystko co ci opowiadałam, zajmowała wiele tysięcy mil kwadratowych, i obejmowała wielką część téj ziemi, którą wy obecnie Europą zowiecie. Ku wschodowi od Irlandyi i Anglii, tam gdzie obecnie Germania, Polska, Rosya leżą, podniosła się młoda część ziemi z wód oceanu, a my którzy się mieliśmy stać kredą, służącą dla waszego pierwotnego oświecenia, leżeliśmy na samym wierzchu. Wtedy to było w téj części świata tak ciepło, jak obecnie w Afryce lub Brazylii, a szlam im wyżéj się wzniósł, tém silniej wysychał, aż zupełnie przyjął twardość kamienia.

Przez bardzo długie wieki nowonarodzona ziemia była gołą i nagą; im wyżéj się wzniosła, tym wyraźniéj występowała różnica między górą i doliną. Morze jednak jeszcze głęboko sięgało do środka téj nowéj ziemi, jakoby nie chciało ustąpić swéj własności, jakoby ją na nowo pochłaniać chciało. Ale wszystko było puste i próżne, aż nie miło było patrzeć. Pod wpływem wiatru i deszczu powoli jednak stan rzeczy się zmienił. Skała zaczęła mięknąć, rozkładać się, przemieniać w pyłek i proszek, zmięszany z małą ilością piasku, pochodzącym od zwierzątek żyjących w krzemowych skorupkach.

Powoli przybywały niezliczone stada ptaków morskich, jak olbrzymi Albatros, żyjący obecnie tylko w Przylądku dobréj nadziei i Przylądku Horn, na południowym końcu Ameryki, nurki, częścią by odpocząć na suchéj ziemi częścią też by się schronić przed burzą lub zakładać swe gniazda.

Pojmujesz, że odchody ich mięszając się z pyłem, poprawić go musiały i zrobić z niego urodzajną ziemię. Niektóre z tych ptaków przynosiły z sobą niestrawione ziarno, które na powietrzu kiełkować zaczęło i prędko się rozwijało. I wiatr też przyczynił się do rozwoju wegetacyi, roznosząc drobniutkie i lekkie nasienniki mchu i paproci, które to rośliny niskie, wilgotne miejsca ozdobiły pięknym zielonym kobiercem. Niekiedy też prądy oceanu przyniosły orzech kokosowy lub inny jaki owoc, a burza rzuciła je na brzeg naszego lądu, gdzie korzenie zapuściły i w olbrzymie drzewa wyrosły. Takim sposobem pod wpływem ciepłéj temperatury młoda ziemia powoli przyozdobiła się i inną przybrała postać. Prawda, że to wszystko nie prędko się stało; potrzeba było na to tysięcy lat, przez które też, jak to wiem z pewnością, ziemia się nieco uspokoiła i już więcéj się nie podnosiła.

Dawniéj tylko widywałam ryby, muszle i inne utwory mogące wyłącznie żyć w wodzie. Możesz sobie wyobracić

moje zdumienie, kiedy pewnego dnia spostrzegłam przechodzące koło mnie wielkie, czworonożne zwierzę, zwane przez was małpą. Teraz ziemia stała się prawdziwie piękną. Och! wy tego wszystkiego nie pamiętacie! Wy nie widzieliście w naszym kraju, w waszéj Polsce pięknéj, szerokolistnéj Banany, rosnącéj obok paproci o rozmiarach drzew waszych, ani téż wasze plemię nie pamięta, jak to z olbrzymiego chlebowego drzewa spadały ogromne owoce, karmiące mnóstwo zwierząt. W owym czasie wasze okolice przedstawiały tak pyszne widoki, jak obecnie krajobrazy Indyi. Przedstaw sobie góry i doliny oświecone promieniami zachodzącego słońca, pyszne łąki, lasy palmowe oblane złotem światłem; cudne kwiaty wszędzie rozsiane — a pojmujesz, że to był raj.

To był raj, ale w nim jednak nie było jeszcze ani jednego człowieka, który w swéj zarozumiałości twierdzi, że ziemia, że świat cały wyłącznie dla niego stworzone, że wszystko co na ziemi jest jego wyłączną własnością. Ludzi jeszcze w owym czasie nie było i wiele tysięcy lat późniéj jeszcze nikt o nich nawet nie myślał. Mimo to ziemia nie była bez życia. Góry, doliny, lasy były przepełnione różnemi większemi lub miejszemi zwierzętami, z których jedne były spokojne, inne znów złośliwe. Olbrzymie węże wisiały na kwiatach i drzewach czychając na łup; w błotach było krocie krokodyli, stada małp bawiły się na drzewach lub ziemi, a masa niezgrabnie zbudowanych, wielkich zwierząt, których wasi uczeni długie dziwne nazwy łacińskie i greckie ponadawali, uwijało się po lasach i łąkach, jakoby one tylko dla nich były stworzone. Motyle, kolibry i innych ptaków mnóstwo, wszystkie ozdobione najświetniejszemi kolorami, kołysały się na kwiatach i gałęziach i napełniały powietrze swym głosem.

Lecz na ziemi nic stałego nie ma. I ta świeżość musiała się skończyć. Równe ciepło, do którego zwierzęta i rośliny przywykły, zmniejszyło się powoli, chociaż nieznacznie. Z czasem spostrzegłam, że palmy i banany już nie tak świetną zielenią były pokryte, i nie tak bujnie jak poprzednio rosły. Powstawały zimne wiatry, biedne małpy zaczęły marznąć, aż zębami dzwoniły, zmizerniały, chorowały i wymarły. Innych zwierząt wiele, czując, że się temperatura ochłodziła, zmądrzało i emigrowalo ku południowi, a te które nie mogły iść, wymarły.

Skończyło się wieczne lato. Zima powoli się zbliżała, a pod jéj wpływem znikła świetność kwiatów i drzew. Ale w przyrodzie nic zginąć nie może; ona zawsze czemś nowem zastępuje stare, i tak téż tu pojawiły się inne kwiaty, krzewy i drzewa. Zamiast palmowych lasów, które znikły, krzewić się zaczęły lasy dębowe, jodłowe, sosnowe, a między niemi i pod niemi pojawiła się leszczyna i olcha. Krajobrazy przyjęły barwę, do jakiéj i wy obecnie jesteście przyzwyczajeni. Ale nie zapominaj, że i do téj przemiany potrzeba było tysięcy lat. (Dokończ. nast.)

Szarada.

Pierwsza i druga nie stara, modna,
Trzecia w piórka i głosik ozdobna,
Czwartego poszukaj w liter rzędzie,
Całe chętnie widzisz zawsze, wszędzie,
Bo cię zabawia, często do łez wzruszy,
Wyższe uczucia obudza w twéj duszy.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 48: *Lelewel.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu W. D. Murowana Goślina: Na nic nam się nieprzyda. — Panu Juljanowi Nie.... w Krakowie: Starać się będziemy polecenie Jego spełnić i gdy starania skutek odniosą, nieomieszkamy Go zawiadomić. Za wierszyki nadesłane dziękujemy. — Pani Z. Z. z Z.: Początek otrzymaliśmy — po przeczytaniu zawiadomimy ją o skutku. Prosimy o nazwisko i dokładny adres.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).